Nr. 12. Lwów, dnia 20. Kwietnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwartalnie **1** zł **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XV.

Właśnie gdy Silber stanął przed domem p. Milińskiego, na drodze z Ujścia Leśnego do Komarowa, pojawił się parokonny powozik, w którym siedział Scholtz, znany nam już rządca hrabiego Leonarda. Palił on cygaro i przez okulary wpatrywał się w grupę drzew odwiecznych, wśród których świecił białemi ścianami dwór baronów Zarnecke.

Pod samym Komarowem, widać było na prawo od dworu cukrownię, na lewo gorzelnię. Oba budynki były czerwone i oba miały wysokie kominy, z których bezustanie czarny dym wylatywał. Drogi poboczne, które do nich prowadziły, były szerokie, starannie utrzymane i owocowemi drzewemi obsadzone.

Scholtz patrząc to na fabryki, to na wozy ładowne, z których jedne surowy produkt przywoziły, drugie gotowy towar na kolej odwoziły, uśmiechał się z zadowoleniem, bo mu ten widok prawdziwą sprawiał przyjemność.

— Porządnego człowieka zaraz poznać! — mruknął. — Tu nie tak, jak u nas!

Po ostatniem słowie wyrwało mu się dosadne przekleństwo. Stangret, na koźle siedzący, nie dosłyszawszy wyrażenia, obrócił się w mniemaniu, że zarządca na niego zawołał. Ten jednak machnął ręką na znak, że nie tyczyło się to jego osoby.

— Do pana barona! — krzyknął.

W kilka minut powozik zatrzymał się przed dworem w Komarowie.

Był to budynek tak samo piętrowy, jak inne w tej okolicy, przytem prosty, skromny, bez żadnych dodatków ni ozdób, z białemi ścianami i dachem czerwonym. Od frontu widać było duży gazon zielony, na nim gdzie niegdzie kwiaty, dalej przy drodze gęsty płot druciany, którym ogród był w koło otoczony. Budynki gospodarskie stały za ogrodem w pobliżu gorzelni.

Scholtz z powozu wysiadłszy, powiedział stangretowi, żeby na bok podjechał i zaczekał; sam zaś zwrócił się ku drzwiom, przez które do domu się wchodziło. Pocisnął za klamkę; drzwi były na klucz zamknięte; już rękę do dzwonka wyciągnął, lecz ją cofnął, inaczej się namyśliwszy.

Jako z miejscowością dobrze obznajomiony, zwrócił się na prawo i dom obszedłszy, znalazł się przed ścianą na południe zwróconą, na której dzikie wino rosło. Wśród jego gęstych zwojów znajdowały się drzwi od kuchni, a dalej okna, do połowy winem obrośnięte. Drzwi były otwarte, tak samo okna. Z wewnątrz dolatywały liczne głosy.

Scholtz wszedłszy do środka, wyjął z ust cygaro i ruchem ociężałym zdjął z głowy kapelusz, przed sobą bowiem ujrzał osobę nie pierwszej już młodości, ale czerstwą jeszcze i rumianą, która

właśnie naradzała się z kucharką, co na kolację gotować. Miała na sobie suknię popielatą, fartuszek w kratki sięgający pod szyję, na głowie czepek biały. W jednej ręce trzymała spory pęk kluczów, w drugiej żelazny garnuszek.

— Uniżony sługa pani baronowej! — zawołał Scholtz kłaniając się niezgrabnie. — Uniżony sługa!

— Dobry wieczór, panie Scholtz! — odpowiedziała obojętnie.

— Jak cenne zdrowie pani baronowej? — zapytał, sięgając po jej tłustą rękę, którą po dwakroć głośno ucałował.

— Jak zwykle, panie Scholtz.

— Pana barona zastałem?

— Jeszcze go nie ma.

— Może wyjechał?

— Nie. Dotąd jest w kantorze, bo ma dziś obrachunki.

— Jeżli tak, to z przykrością muszę go aż tam niepokoić... gdyż przyjechałem w pilnym interesie.

— W osobistym? — zapytała.

Scholtz nic na to nie odpowiedział, tylko jednem okiem mrugnął. Musiała go zrozumieć, skoro rzekła:

— Proszę, niech pan idzie. Mego męża zastanie pan z pewnością w kantorze.

Scholtz ucałowawszy ponownie tłuste ręce baronowej, skłonił się, mówiąc: „Uniżony sługa!“ nałożył kapelusz i na dwór wyszedł.

Minąwszy ogród, znalazł się przed dość dużym domem piętrowym, w którym mieszkali: dyrektor fabryk barona, jego kasjer i prokurzysta, naczelny inżynier, buchalter i kilku młodszych urzędników. Tu był także główny kantor, do którego Scholtz wszedł teraz.

W pokoju obszernym, urządzonym na wzór sal bankowych, przy stole za żółtą barjerą, siedział sam właściciel i pilnie przeglądał książki, które mu urzędnicy przedkładali. W ręku trzymał ołówek, przed nim leżał arkusz papieru, cyframi jak makiem zasiany. Patrzył w księgi, zapisywał cyfry, dodawał, odciągał, ale rzadko kiedy usta otwierał. Czynił to tylko wtenczas, gdy potrzebował wyjaśnień.

Scholtz podszedłszy ku niemu, przemówił z głębokim ukłonem:

— Uniżony sługa pana barona.

Baron ani nie powstał, ani oczu na niego nie podniósł, tylko dalej w księgach wertując, rzekł krótko:

— Dobry wieczór, panie Scholtz.

Gość zrozumiawszy, że nie przyszedł w porę, usiadł na kanapce trzcinowej, co pod ścianą stała, zapalił cygaro, nogę na nogę założył i czekał cierpliwie. Baron ciągle rachował, przyczem mruczał. Nareszcie do urzędnika, który właśnie stał przy nim, rzekł sucho, palcem na książkę pokazując:

— Tu brakuje dziesięć fenigów.

— Nie pojmuję, coby się mogło stać — odrzekł urzędnik.

— I ja nie pojmuję... Przerachuj pan więc jeszcze raz.

Urzędnik zaczął liczyć, a gdy skończył lekko pobladł.

— Rzeczywiście brakuje.

— Panie Müller — rzekł baron do kasjera, który przy kasie siedział — od pana Engla odbierzesz dziesięć fenigów, a pan — dodał ciszej, do Engla się zwracając — staraj się więcej nie mylić, bo ja takich rzeczy nie znoszę.

W pół godziny, baron robotę ukończywszy, podszedł do Scholtza i rzekł wesoło:

— Jak się masz, kochany panie Scholtz! Już sto lat jakem cię nie widział.

To mówiąc wziął go za rękę i kordjalnie ją uścisnął.

— Zbyt wiele mam zajęcia panie baronie, więc też rzadko kiedy mogę z Ujścia wyjechać.

— Wiem, wiem... Wszak temi dniami przyjmowaliście jak warjaty starego hrabiego. Im się nie dziwię, bo oni rozumem nigdy nie grzeszyli, lecz tobie, panie Scholtz.

— Trudna rada, panie baronie. Człowiek zawisły, zwłaszcza od takich ludzi, choćby chciał być zawsze rozumnym, musi nie raz głupiego udawać.

— Smutna to konieczność, bardzo smutna — baron potwierdził. — Ale proszę cię panie Scholtz do siebie, zapewne przyjechałeś w interesie. Przy szklance piwa lepiej się mówi. Dobranoc panom, dobranoc! — dodał ku urzędnikom się zwracając.

— Dobranoc panu baronowi! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

Baron wyszedł pierwszy, gość za nim.

Był to mężczyzna o całą głowę od Scholtza słuszniejszy, jak Apollo zbudowany. Trzymał się prosto, pierś miał wydętą, w pasie wcięcie nieporównane, rysy twarzy regularne, wyraziste, piękne, brodę długą, ryżawą, rozdzielającą się w samym środku, w której gdzie niegdzie widać już było srebrne nitki. Lat mógł mieć najwyżej czterdzieści trzy lub cztery. Jego postawa i ruchy wskazywały, że w wojsku służył.

Ożeniwszy się jako porucznik od huzarów, z osobą mieszczańskiego pochodzenia, lecz bardzo bogatą, po wysłużeniu trzech lat obowiązkowych w armji czynnej, przeszedł do rezerwy i oddał się gospodarstwu, które prowadził z zamiłowaniem i wielką rzeczy znajomością. Przed laty jedenastu, podczas wojny z Francją, otrzymał pod murami Paryża stopień rotmistrza, a oprócz tego za waleczność okazaną w bitwie pod Gravelotte, dostał krzyż wojskowy i w rozkazie dziennym głównodowodzącego był wymieniony między najdzielniejszymi oficerami.

Po wojnie zamieszkał znowu w Komarowie, ale chociaż do Francji nie szedł młodzikiem, gdyż miał wtedy lat przeszło trzydzieści, mimo to wszyscy jego znajomi zrobili spostrzeżenie, że baron wielce się odmienił. Dawniej każdy naród szanował; teraz na świecie była jedna tylko Germania i mądrą i wielką i potężną, żaden zaś inny naród nie był godzien rozwiązać rzemyka u jej trzewików. Dawniej dla ludności polskiej, wśród której żył, miał choć jakieś względy; teraz uważał ją za hołotę, niegodną nawet spojrzenia. Dawniej szanował każdą religję, teraz najdoskonalszą była li religja protestancka. Ostatnia ta zmiana tem jaskrawiej w nim uderzała, że baron pochodził z rodziny katolickiej, jego brat Fryderyk dotąd był katolikiem, a dopiero po wojnie zmienił wyznanie, by, jak utrzymywał, stać się pod każdym względem godnym synem wielkiej ojczyzny niemieckiej.

Gdy wszedł do swego pokoju, w którym wszystkie ściany były obwieszone obrazami, ilustrującymi zwycięztwa Prusaków nad armją francuzką, kazał dziewczynie przynieść dwa kufle piwa, poczem zrzuciwszy surdut i kamizelkę, siadł wygodnie w fotelu. Jego gość zajął miejsce naprzeciwko.

Wkrótce pojawiło się piwo zapienione, zimne, prosto z lodowni, w szklankach z metalowemi nakrywami. Gospodarz wziął pierwszą szklankę, gość drugą.

— Na pomyślność! — wzajemnie sobie powiedzieli.

Każdy wychylił szklankę do połowy, obtarł wąsy z piany i cygaro zapalił.

— Cóż mi nowego przynosisz, kochany panie Scholtz? — baron nareszcie zapytał.

— Nie mamy pieniędzy.

— Znowu?

— Albośmy ich kiedy mieli za dużo?

— Prawda, lecz chyba jecie pieniądze. Wszak na ratę od landszafty i na gospodarstwo, wzięliście niedawno trzynaście tysięcy talarów.

— Poszły już, poszły! — Scholtz odrzekł ręką machając.

— Na cóż wam ich więc teraz potrzeba?

— Na okręt.

— Na okręt? — baron powtórzył z najwyższem zdziwieniem.

Scholtz uśmiechnął się pogardliwie i popiół z cygara obtrzepując, spokojnie odpowiedział:

— Stary hrabia osądził, że w Ujściu Leśnem człowiek przyzwoity nie może istnieć, jeżeli na jeziorze nie ma łodzi parowej. Gdy mi to pierwszy raz powiedział, myślałem że oszalał, bo gdzie jego synowi myśleć o takim wydatku! O ile mi się zdaje, łódź taka będzie kosztowała najmniej dziesięć tysięcy marek, a my, jak to pan baron sam wie najlepiej, już oddawna żyjemy tylko z długów.

— A syn co na to?

— Z początku, myślałem, że to koncept tylko samego ojca, lecz dziś w południe młody hrabia stanowczo mi powiedział, że w najbliższym czasie łódź parowa musi być u nas na jeziorze. Otrzymawszy takie ultimatum, nie mogłem nic lepszego uczynić, jak do pana barona po pieniądze przyjechać.

Baron zerwał się z fotelu.

— A to ludzie! — zawołał. — Wartoby ich obwozić w klatce żelaznej po całej Europie, jako przykład odstraszający. Stary tak majorat obdłużył, że już prawie nie ma żyć z czego, a syn chociaż ostatkami goni, sprowadza dla przyjemności łodzie parowe! I niech kto teraz powie, że baron Zarnecke nie ma racji, gdy utrzymuje, iż ta przeklęta krew słowiańska jest skazana na zagładę! Chociaż stary hrabia już się ucywilizował i oddawna nie przyznaje się do polskości, mimo to ulega fatalizmowi, który tkwi w jego krwi, a syn także się gubi, bo on nie tylko słowianin, lecz także francuz. Cha! cha! cha! piękna kombinacja! Jeźli mam prawdę powiedzieć, to zaiste sam nie wiem, kogo bardziej nie cierpię, polaków czy francuzów. Pierwszy lekkoduch i arogant, drugi lekkoduch i szarlatan! Wiesz co, panie Scholtz, we Francji wszystko jest szarlatanerją. Wojskowość, rząd, sztuki, nauka, moda, nawet religja!

Baron tak francuzów nie lubił, że ilekroć na myśl mu przyszli, o wszystkiem innem zapominał i tylko o nich mówił, przyczem nie szczędził im nagany, złorzeczeń i pogróżek, że jak niemcy jeszcze raz się zerwą, to ich stokroć bardziej zniszczą niż w r. 1870. Scholtz, jakkolwiek pod tym względem był tego samego co i on zdania, bojąc się jednak, by nowy temat nie oderwał ich zanadto od interesu, w którym przyjechał, rzucił tylko kilka przekleństw na głowy francuzów, poczem skierował zaraz rozmowę na przedmiot zajmujący teraz więcej niż wszystko inne jego uwagę.

— Sądzę że pan baron pożyczy mi sześć tysięcy — rzekł, stawiając próżną szklankę na stole.

— Nie wiem jeszcze.

— Pan baron mógłby mnie w takiej chwili nie wspomódz?

— Radbym to dla ciebie uczynić, mój kochany panie Scholtz, gdyż wiem, że jeżeli nie zaspokoisz kaprysu tych warjatów i utracjuszów, to z pewnością miejsce u nich stracisz, ale z drugiej strony muszę ci się przyznać, że ja dziś nie widzę w tem własnego interesu. Na Ujście dałem już ośmdziesiąt tysięcy talarów, a ilekroć mam procent otrzymać, muszę znowu dopożyczać.

— Tem lepiej dla pana barona, gdyż prędzej cała hipoteka będzie w jego kieszeni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Nazajutrz, około dziesiątej rano, pan Cantarel miał jak zwykle odjechać do Paryża. Powóz, który go odwoził na stację kolei, zajechał już przed ganek. Stangret siedział na koźle sztywnie wyprostowany, z lejcami podniesionemi; lokaj stał przy drzwiczkach, z ręką na klamce. Czekali na wyjście pana, milczący i nieruchomi.

Z okna swojego, Jetta przypatrywała się powozowi, który połyskiwał w promieniach wesołego słońca zimowego. Rumak czystej krwi, z głową zdobną w kokardy pąsowe, gryzł niecierpliwie wędzidło, grzebał zgrabną nóżką i wyrzucał łebek śliczny wysoko. Łudził się najwidoczniej, co do swojego stanowiska socjalnego, sądził bowiem, iż wozi po prostu cesarza.

Pan tych wszystkich wspaniałości, zjawił się wreszcie na ganku. Futro kosztowne robiło go jeszcze otylszym i dodawało powagi jego całej postaci. Spojrzał przypadkiem w górę, spostrzegł swoją pupilkę, roześmiał się i skinął na nią. Zarzuciła okrywkę popielatą z kapiszonkiem po łszytym atłasem niebieskim i zbiegła na dół Wrócił się do sieni naprzeciw niej. Zajrzał jej bystro w oczy, śmiejąc się ciągle i szepnął:

— Ty! ty! niewiniątko! — dodał zaś po chwili: — Na prawdę, gotówbym od dziś w cuda uwierzyć.

Zmięszana, czekała żeby się zaczął jaśniej tłómaczyć.

— Muszę wierzyć w cuda, skoro je robi taka, jak ty mała obłudnica.

Rzucił okiem po służbie i ekwipażu, aby się zapewnić, czy wszystko godne jego; cała postawa tchnęła powagą tak uroczystą, niby jakiego jenerała, robiącego przegląd w przededniu walnej bitwy. Zdało mu się, iż krawatka lokaja, jest białości cokolwiek podejrzanej.

— Zkąd wyciągnąłeś tę brudną szmatę? — wykrzyknął.— Za kogoż to mię masz? W tej chwili wziąć inną!

— I jakżeś się wzięła do tego, żeby biednego chłopaka tak oczarować? Oj, te mniszki, wszystkie to potrafią! Nie spi, nie je, nie pije!

— Nawet nie pije? — zmusiła się do uśmiechu.

Nie wiedziała co począć i co mówić

— Ah! mój drogi wuju, przysięgam, że...

— Ejże! zaczynasz przysięgać? Może nie długo i kląć potrafisz? Odkąd że to mniszki, pozwalają sobie takich wybryków? Poczekaj, doniosę ja o tem matce Amelji!... Koniec końców, wczoraj margrabina ze wszystkiem wygadała się przedemną. Poczciwa kobieta, tak syna kocha, że uległa jego prośbom usilnym. Marzyła dla niego o księżniczkach, a co najmniej o margrabiankach — ale czego chce ta, ta mała dzieweczka! sam Bóg tego chce, i oto panna Maulabret będzie margrabiną!

Wlepiła wzrok w kokardę u głowy końskiej. Widziała w niej mnóstwo rzeczy nieprawdopodobnych i niemożliwych; widziała tam także iż powie „nie“, że ta odmowa poróżni ją z całym światem, i walki, które będzie zmuszona staczać, przerażały naprzód, tę cichą, spokojną duszyczkę. Boże! ileż troski mieści się czasem w jednej końskiej kokardzie.

Złożyła ręce jak do modlitwy.

— Racz mnie pan wysłuchać — rzekła tonem błagalnym. — Mój dobry wujaszku, proszę mnie wysłuchać...

On jej jednak nie chciał słuchać. Widząc pojawiającego się lokaja w krawatce świeżuteńkiej, wskoczył do powozu. Drzwiczki za nim zatrzaśnięto, koń stanął dęba, a potem pomknął jak wicher Pan Cantarel wychylił jeszcze głowę z powozu, rzucił w powietrze od ust pocałunek i zawołał:

— Do zobaczenia wkrótce, pani margrabino!

W kilka godzin później, pani Cantarel i panna Maulabret, siedziały jedna naprzeciw drugiej, zajęte robotą na drutach. Panowało głuche milczenie. Jetta wahała się czy ma przerwać takowe; zdawało się jej, iż ma przed sobą automat, a do automatu nie mówi się przecież. Nareszcie przemówiła zebrawszy całą odwagę:

— Czy byłabyś pani na tyle łaskawą i chciała mi dopomódz?

— O co idzie, moja droga? Czy nie możesz sobie dać rady ze spuszczaniem oczek w pięcie?

— Dałby Bóg żeby tu się li o piętę w pończosze rozchodziło!.. Wyobraź pani sobie, iż margrabina i mój opiekun chcą mnie gwałtem wydawać za pana Gustawa de Moisieux

Siliła się, żeby wszystko po porządku opowiedzieć, nie śmiała sobie jednak pochlebiać, że ktoś ją słucha, tak twarz pani Cantarel nic a nic nie wyrażała. Gdy skończyła:

— Sądzisz zatem moja droga, iż dowiaduję się od ciebie czegoś nowego? — bąknęła wujanka. — Wszystko odgadłam w dniu, w którym mi twój wuj zwiastował, iż myśli zimę w Combard przepędzić Zrozumiałam natychmiast, iż chcą cię poddać systematowi pensylwańskiemu, gdzie każdego więźnia osobno zamykają. Tak piękna i bogata, byłabyś wabiła konkurentów, i byliby lecieli rojami, jak muchy do miodu Chciano ci więc przeszkodzić, abyś nawet okiem nie rzuciła na innego mężczyznę, prócz na tego markiza zachwycającego, i oszczędzić ci kłopotu w wyborze... Bądź że rozsądną, czemuż tu bo można się dziwić? Bałwan niemożliwy do ożenienia—i młoda panienka z takim posagiem! Margrabina musiałaby chyba być matką wyrodną, gdyby wypuściła z rąk tak świetną partję.

— To też nie wzywam pani pomocy wobec margrabiny, ale błagam panią, wstaw się przecież za mną do wuja, proś go..

— Byłoby mi najprzyjemniej, przysłużyć ci się moja droga — odrzuciła sucho — ale od lat piętnastu, o nic nigdy wuja twego nie prosiłam. A choćbym i podjęła się bronić twojej sprawy, bądź przekonana, iż mówiłabym jak do głuchoniemego Ani się jeszcze domyślasz, jaki wpływ potężny wywiera na niego pani de Moisieux. Hiszpanie mają zwyczaj mówić gościowi, który wstępuje w ich progi: „Mój dom do ciebie należy!“ — To jest w końcu przenośnią. Pan Cantarel, oddał do rozporządzenia swojej pięknej sąsiadce, swój park, swoje cieplarnie, swoje powozy, swoich dziesięć koni i swoich dwunastu lokai, w tem zaś co uczynił, nie ma prawie przenośni. Nie myśli wprawdzie darowywać jej jego, ale od niej wyłącznie zależy, rozporządzać wszystkiem. Trzeba przyznać, iż nie nadużywa niczego. Przyjmuje kwiaty, brzoskwinie, melony, winogrona, twojemu wujowi atoli, strzelają niekiedy do głowy

pomysły wielkopańskie, *a la Lauzin*, które ona jednak nie zawsze chce z nim podzielać. Wymyślił naprzykład, ani słowem o tem margrabinie nie wspomniawszy, zakupno kawałka winnicy, dotykającej do jej szpalerów; wiesz przecie, owa winnica otoczona murem, najeżonym żelaznemi widłami i butelkami potłuczonemi, który zasłania wszelki widok z jej kiosku. Dnia pewnego zjawił się przed panią swoich myśli z kontraktem kupna w ręce i rzekł zginając przed nią kolano: — Piękna margrabino, winnica do ciebie należy i mur również; do jutra wieczór, oddział złożony z dwudziestu robotników, których zamówiłem, mur zwali. — Miała na tyle dowcipu, iż się za to rozgniewała, niemal uniosła i o mało nie przyszło między nimi do zerwania. Ku jego zmartwieniu największemu, zmuszony był winnicę zachować dla siebie i zostawić mur murem. Utrzymywała, iż butelki ją grzeją, zasłaniając kiosk od wiatru północnego. To jednak nie przeszkodziło szarmanckiemu sąsiadowi, ofiarować jej trochę później konia pod siodło, którego również nie przyjęła. Dziś ofiaruje margrabinie swoją pupilkę i przyjmuje .. Spytasz mnie może, jakim cudem wiem o wszystkiem tak dokładnie. Twój opiekun ma tyle interesów i tyle spraw ważnych na głowie, że na mnie zwalił wszelkie domowe rachunki, do mnie zatem jego zarządca, pan Violet, udaje się z tem wszystkiem Pan Violet jest ogromnym gadułą, nie pytam go o nic, ale też i mówić mu nie zakazuję; biedaczysko gotów by z tego umrzeć, a ja wcale nie pragnę jego śmierci.

Zamilkła. Liczyła uważnie oczka na drutach Po chwili podniosła do góry oczy zaspane, które następnie zwróciła ku Jecie:

— Zdaje mi się — mówiła dalej — iż młoda dziewczyna, która spędziła rok blisko w szpitalu, musi wiedzieć nie jedno i nie potrzeba się z nią tak bardzo żenować.. Bądź przekonaną moja droga, że pani de Moisieux i pan Cantarel zawarli między sobą rodzaj ugody, i że łudzi się on błogą nadzieją, iż w dniu, kiedy ciebie rzuci na pastwę boskiemu Gastonowi, będzie mógł ze swojej strony żądać i zmusić do wszelkich koncesyj, wdzięczną margrabinę. Ja temu wcale nie wierzę, wiedząc, iż pani de Moisieux drwi sobie z niego w najlepsze, ale on w to święcie wierzy. W jakiż sposób mógłbyś temu przeszkodzić?

Jettę tak to odkrycie przeraziło, że pończocha razem z kłębkiem zsunęła jej się z kolan na kobierzec. To było gorszem, niż wszystko poprzednie. Że pani de Moisieux oszukiwała ją czułościami i pieszczotami, uznała w końcu za coś zupełnie naturalnego. Ale żeby jej opiekun.. Wyobrażała sobie, iż mimo jego kaprysów i widzimisiów, miał dla niej cokolwiek życzliwości, tymczazem! Nie! nie ma słowa prawdy w tych brudnych, wstrętnych plotkach; nawet matka Amelja nigdy jej nic podobnego nie opowiadała. Nagle przypomniała sobie scenę w kiosku, stanął jej w oczach ów staruch klęczący, który nie mógł się dźwignąć napowrót; jego śmieszna mina, jego pomięszanie, jego gniew i dąsy przy obiedzie. Cała ta więc historja jest aż nadto prawdziwą. — Trzeba zatem abym należała do syna, zaco w nagrodę matka jemu się odda! — rzekła w duchu drgnąwszy nerwowo. – Oh! cóż to za dziura obrzydła ten świat cały! — Podniosła oczy, a spojrzawszy na wujenkę, która najspokojniej drut za drutem przerabiała, zawstydziła się sama przed sobą, że tak się rozczula nad własnym losem. Dotąd ona los ten trzyma w dłoni, a tu przed nią siedzi nieszczęście uosobistnione, niepowetowane i lat piętnaście ciężkiego poddaństwa zrezygnowanego, milczącego. Miała wielką ochotę rzucić się ku niej i serdecznie ją ucałować; pani Cantarel jednak, która zdawała się odgadywać myśli przelatujące przez tę młodą główkę, odezwała się z uśmiechem gorzkim i pełnym ironji:

— Oh! zupełnie nie zadawaj sobie trudu i nie staraj się mnie pocieszać. Gdybyś wiedziała jak mnie to nic nie obchodzi! Cóż chcesz? pan Cantarel ma usposobienie burzliwe i namiętne. Z tego powodu byłam zmuszoną odprawić dwie pokojowe; przez dłuższy przeciąg czasu, byłam skazana na otoczenie złożone z samych potworów, krzywych lub zezowatych Dziś atoli jego zachcianki wzniosły się o całe niebo wyżej, a jego nadzieje bujają w empireum. Zostawmy mu jego margrabinę... było by zbrodnią chcieć mu ją odebrać, przysiągł, iż złoży ją w ofierze na ołtarzu republiki. Ta margrabina widzisz, to ziemia.. o mało nie powiedziałam dziewicza... na której płonie z niecierpliwością, aby jak najrychlej zatknąć sztandar czerwony.. Jeżeli to nie jest szczytem radykalizmu, to chyba ja się wcale na tem nie rozumiem!

— Pani — odezwała się Jetta po chwili — daj mi przynajmniej dobrą radę.

— Radę! a po co? Nie lubię mięszać się w cudze sprawy. Zresztą trzeba umieć sobie radzić samemu. Czy czujesz się na siłach aby stawić opór? To odmów. Jak nie, zgódź się odrazu na wszystko. Ah! mój Boże! przywykniesz w końcu i do tego człowieka. Albo zrób jeszcze lepiej niż ja zrobiłam, zacznij od zupełnej obojętności, na której ja skończyłam. Tak, to jest niemal szczęściem, byle dodać do tego jakiekolwiek upodobanie, rodzaj fiksacji... Słuchaj moja droga, nie mogłabyś dajmy na to rozmiłować się w kogutach murzynkach?

— Nie jestem na tyle filozofką. — Jetta odpowiedziała ze smutnym uśmiechem — i lękam się, iż koguty murzynki, nie byłyby w stanie szczęścia mi zapewnić.

— W takim razie szczerze cię żałuję — bąknęła pani Cantarel.

I na tem zakończyła się rozmowa.

Na godzinę przed objadem, panna Maulabret była sama w salonie, tonąc w bolesnej zadumie, gdy pan Cantarel wróciwszy z Paryża wszedł niespodzianie a uszczypnąwszy ją w sam koniec uszka według zwyczaju, wykrzyknął:

— I cóż, piękna panieneczko, z czem że mię poszlesz dziś wieczór do szaletu?

Hasło do walki zostało wydane; padł pierwszy strzał armatni. Zebrała całą odwagę, wytężyła wszystkie siły i rzekła głosem dość spokojnym:

— Kochany wuju, liczę na ciebie, na twoje obycie ze światem, na twoją dla mnie przychylność, iż dasz do zrozumienia pani de Moisieux, tak, żeby jej w niczem nie zadrasnąć, iż to małżeństwo jest wprost niepodobnem.

Cofnął się o trzy kroki, jakby u jego stóp bomba pękła.

— Niepodobnem!... Ejże! ciekaw bym wiedzieć z jakiego powodu?

— Jestem wdzięczną nieskończenie pani de Moisieux — mówiła dalej głosem coraz donośniejszym — iż chciała mi zrobić ten zaszczyt, zdaje mi się jednak...

— Zdaje ci się?...

— Iż nie mogłabym nigdy przywyknąć do jego twarzy, ani oswoić się z jego nawyczkami..

— Proszę! doprawdy?.. Dowiedz że się, iż ja, który oto stoję przed tobą, przywykłem do niego odrazu! Znajduję, że to chłopiec wcale przyzwoity, inteligentny, przystojny... Eh! mój Boże! nie jest wprawdzie Appollinem. Pannie zatem potrzeba Apollina? No, no, obstalujemy go umyślnie dla ciebie. Tam do djabła! co za gust wybredny! Czyś już zapomniała kim jesteś i gdzieś się wylęgła? Czy nie pamiętasz przypadkiem, że matka twoja była prostą awanturnicą, a twój ojciec kulę sobie w mózg wpakował? Skaza to nie lada, moja panienko! i nie jednego człowieka uczciwego można by tem odstraszyć. Wierz mi, takiej jak ty, nie łatwo znaleźć męża.

— Mnie też nie pilno za mąż wychodzić.

Posiniał z gniewu.

— Ach! widzę o co tu idzie, rozumiem co się święci! Panna jest gołąbką mistyczną; panna chce zachować nietkniętą swoją dziewiczość; panna zamyśla poślubić boskiego Oblubieńca? A kto jej temi niedorzecznościami głowę napełnił? Matka Amelja, stare straszydło, które li dla tego wstąpiło do klasztoru, że nie znalazł się na kuli ziemskiej mężczyzna na tyle odważny, aby zdecydować się bodaj z zamkniętemi oczami... Ale przez ciebie, gotówbym palnąć jakie głupstwo!

— Nie wiem, czy matka Amelja jest starem straszydłem — odrzuciła z najwyższem oburzeniem — ale to wiem na pewno, iż ani jedna z chorych, którym życie własne poświęca, nie widzi, tak samo jak i ja, jej brzydoty; i wiem również, że mój dziadek Antoni nie lubiący jej zresztą, oddawał jej wszelką słuszność i bardzo ją szanował.

— Piękna mi powaga! w to mi graj. Człowiek zdolny rzucić do fartuszka majątek krociowy, warjatce z głową przewróconą Twój dziad Antoni, moja panno, był tak samo postrzelony. To jest moje zdanie najuniżeńsze... Czy mówisz co?

— Nic nie mówię — szepnęła.

— Otóż, skoro raczysz łaskawie mnie odstąpić prawo mówienia, dodam jeszcze, że gdyby rząd pojmował swoje najświętsze obowiązki byłby rozpędził na cztery wiatry wszelkie duchowne stowarzyszenia i kongregacje ze szpitali, jak i zewsząd... Chorzy nic by na tem nie stracili. Cały świat by ich wtedy pielęgnował, Paweł, Gaweł, a nawet ja, Ludwik Cantarel, we własnej mojej osobie w pierwszym rzędzie.

Uniesiona gniewem, ośmieliła się rzucić mu w oczy:

— Matka Amelja nie boi się ani ospy czarnej, ani tyfusu!

Na jej szczęście nie zrozumiał aluzji.

— Pleć pleciugo byle długo! — machnął ręką lekceważąco. — Prawdziwa ospa i najgorszy tyfus, to Jezuity i mniszki. Kiedy też Francja z nich się oczyści! Kobiety są na to stworzone żeby mieć dzieci i ty je mieć będziesz i wcale się zato nie pogniewasz, chybaby Gaston był ostatnim cymbałem! Zresztą wszelkie śluby są przeciwne moralności. Uważ, że śluby wieczyste, sprzeciwiają się nawet kodeksowi cywilnemu. Jest tam pewien paragraf, zabraniający robotnikom godzić się do roboty na całe życie.

— Zdaje mi się jednak — odrzuciła tonem o wiele spokojniejszym — że i małżeństwo jest przyrzeczeniem, obowiązującem na całe życie?

Nie raczył odpowiedzieć na jej zarzut, spiorunował ją spojrzeniem pogardliwem i zaczął wszerz i wzdłuż salon przemierzać ciężkiemi krokami, sapiąc jak foka, aby wysapać się z gniewu. Był i zdziwiony i wściekły Dotąd stosując się do polecenia matki Amelji, Jetta poświęcała muchę, aby ratować słonia. Opiekun znajdował w niej tyle uległości w drobiazgach, iż nie przypuszczał, aby zdolną była oprzeć mu się w sprawach najważniejszych. Zaniepokoił go opór napotkany. Umyślił zmienić metodę i spróbować czułości. Na tem polu czuł się niezwyciężonym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

— Panie hrabio — mówiła księżna dalej, tonem rzewnym i łagodnym — bądź moim posłem do lady Fitz-Gerald. Za mało się znamy i nie wiele przebywaliśmy razem. Myślę atoli, iż będzie to dla Edwarda prawdziwą pociechą i osłodą w więzieniu, gdy się dowie, żeśmy się pogodziły i ściśle złączyły. Skoro jaką rodzinę dotknie cios bolesny, gdy żona cierpi na równi z matką i ta sama trwoga śmiertelna o los ukochanego, serca ich mieczem przeszywa, powinny być razem, dłoń w dłoni, serce przy sercu.

Łucja wdzięcznością uniesiona, rzuciła się do kolan księżny.

— Och! — krzyknęła radośnie. — Bądź za to błogosławioną, matko moja! Pojmuję myśl twoją najzupełniej!

Księżna kończyła uroczyście:

— Syn mój starszy, książę Leinster, jest w Indjach obecnie. Jego powinnabym wysłać do Kildar w tej misji delikatnej. Zastąp go panie hrabio. Powiedz lady Pameli, iż czekam na nią, z ramionami otwartemi, i sercem matki; że będę najszczęśliwszą, gdy ujrzę obok siebie drugą córkę, gdy przycisnę do łona moje wnuki najukochańsze.

Łucja zerwała się od kolan matki, wołając:

— Tylko jedź pan jak najprędzej.

— Łucjo! — matka skarciła ją wzrokiem surowym.

— Och! — młode dziewczątko, uśmiechnęło się przez łzy—my przecież starzy znajomi! Nieprawdaż, panie hrabio?

Nazajutrz dodnia Tankred siedział już na koniu.

Rzuciwszy okiem na Tony poczciwego, który mu pierwszy bramę w Kildare otwierał, domyślił się po murzyna minie, stroskanej i przerażonej iż wieść hiobowa doszła już i do tego cichego ustronia.

— Biedny pan! drogi pan! — łkał wierny sługa, bełkocąc łamanym językiem. — On zamknięty! On skaleczony! a Tony przy nim nie jest.

— Któż wam doniósł o wszystkiem? — badał hrabia zaciekawiony.

— Master Jack! — mruknął Tony.

W Kildar i w Dublinie *Wild-Irish* był całej służbie znany, li pod tem imieniem. Jego obietnice wznieciły w sercu strapionem Pameli, tylko słaby promyk nadziei. Przycisnęła następnie dziatki do łona, a obsypując je namiętnemi pocałunkami, rzewnie się rozpłakała. Są istoty jakby

stworzone — jakby z góry przeznaczone li do szczęścia uśmiechów. Jedną z takich była Pamela Łzy jednak czyniły ją jeszcze ponętniejszą, niby krople rosy, spadające na różę świeżo rozkwitłą.

— Biedne moje maleństwa! — gorżko sama siebie oskarzała. — Ja to może głównie pozbawiam was ojca! Tak by mi było łatwo przyszło odwrócić kroki jego z drogi fatalnej, najeżonej niebezpieczeństwami. Ukołysana jednak strofkami patrjotycznemi, napojona doktrynami rewolucjonistów, przekonana o świętej powinności ratowania i wyzwalania z niewoli uciśnionych, unosiłam się wraz z nim, nad niedolą tej pięknej Irlandji, w której dzieją się bezprawia, o pomstę do nieba wołające, która od tylu wieków cierpi nędzę wszelaką, daremnie zbawcy wyczekując! Zapał jego dla sprawy wolności wzniosły, szlachetny, i moje serce na wskroś rozpłomieniał.. Wierzyłam, że on będzie, mój mąż, mój Edward! tym zbawcą! tym bohaterem nieśmiertelnym!... Wierzyłam w zwycięstwo zupełne i sama go do walki podniecałam. Spartanka! bogini rewolucji i kapłanka zwiastująca przewrót społeczny jak mnie ironicznie matka jego nazywała. Oh — zwróciła teraz oczy pełne łez ku Tankredowi — możesz jej hrabio oznajmić, jak winę moją i fatalne zaślepienie szczerze opłakuję. — Gdybyśmy tak mogli we czwórkę, znaleźć się razem na horyzoncie i uścielić sobie nowe gniazdko w jakiem cichem, niedostępem ustroniu, nie opuścilibyśmy naszego kącika, choćby szło o podbicie królestw świata całego i zadowolnilibyśmy się li szczęściem domowem.

— Sama jej to lady powtórzysz, bo właśnie księżna mnie po ciebie wysłała

Pamela, wzruszona do głębi serdecznem matki mężowskiej zaproszeniem, wydała natychmiast rozkazy do wyjazdu. Miano jutro z pierwszym brzaskiem dnia, puścić się w podróż. Tankred został na noc w zamku.

Wielka poczwórna kareta wyruszyła nazajutrz równo ze świtem, uwożąc matkę z dziećmi i ich wierną nieodstępną piastunkę Balbinę. Na koźle siedział Tankred i Tony zamiast woźnicy. Dziatki pytały raz po raz czy jadą do tatusia?

— Przynajmniej zbliżymy się do niego! — odpowiadała matka głucho łkając.

Nad wieczorem, kareta zajeżdżała w bramę obszerną pałacu Leinster. Tankred szybko zeskoczył aby się ulotnić z wrodzoną u niego delikatnością. Słyszał jednak okrzyk radości, który Łucja wydała lecąc w dół po wschodach marmurowych.

Można sobie łatwo wyobrazić, z jaką czułością witano Pamelę i jej dziatki. Księżna słowa przemówić nie mogła, ściskała tylko synowę i wnuki, wśród łez potoków. W rzeczy samej przeszłość została na wieki z jej pamięci wymazaną. Skoro się cokolwiek uspokoiła, nazywała Pamelę raz po raz: „Swoją córką najukochańszą!“

Wieczorem przyszedł Reginald, przynosząc wiadomości od uwięzionego. -- Opowiedz mu sir — księżna synowę do piersi przytuliła, trzymając wnuczęta na dwóch kolanach — opowiedz wszystko szczegółowo, na coś patrzał własnemi oczami!

XVII.
Zazdrość.

Tankred przez dni kilka wcale się nie pokazywał. Księżna musiała go wezwać listownie. Gdy przyszedł przemówiła doń z wymówką:

— Czy to ładnie z pańskiej strony, tak uciekać przed należącem mu się od nas podziękowaniem?

— Musiałem zająć się moją instalacją!—odpowiedział.

— Ah! zostaniesz więc z nami?

— Tak długo, póki lord Edward nie wyjdzie z więzienia. Obiecałem solennie lady Pameli — dodał wesoło — że ich oboje do Francji odprowadzę.

— Niestety!... daleko nam jeszcze do tej chwili błogosławionej.

— Kto wie?... Tylko cierpliwości!...

I tak od dnia pierwszego, wziął na siebie rolę pocieszyciela, który widzi wszystko w barwach różowych, prawdziwie po francusku. O zwykłej godzinie zjawił się, jak to co dzień czynił, pułkownik Reginald Cornwalis. Przedstawiono ich nawzajem.

— Hrabia Gaillefontaine myśli zimować w Dublinie— księżna nadmieniła — tylko z poświęcenia dla Edwarda. Polecam ci go, sir, w szczególności, jako temu, który ma także wkrótce zostać moim synem.

Dwaj dżentelmeni grzecznie się skłonili, jeden drugiemu. Twarz Reginalda dziwnie pochmurniała, jakby ukrywał w głębi serca troskę niezwykłą. Wszyscy zatrwożyli się, myśląc, że idzie o więźnia.

— Oh! nie! — potrząsnął głową. — Z tej strony wszystko idzie pomyślnie... ale wydali nam wojnę zawziętą... wojnę dzikich! — Proszony o jaśniejsze tłómaczenie, tak mówił dalej: — W domu na Kildare-Street, gdzie aresztowano członków tajnego Dyrektorjatu Irlandzkiego, znaleziono dwóch ludzi zabitych: Armstrong'a i kupca Reynolds'a. O tych mniejsza zresztą! Byli to zdrajcy, i o ile się zdaje, przynajmniej co do Armstrong'a, legli obydwaj w walce legalnej, w pojedynku. Ale major Sirr, który zranił lorda Edwarda...

Żona i matka drgnęły; Łucja nawet wyraziła niemym ruchem gniew i wstręt najwyższy.

— Major Sirr, był żołnierzem dzielnym i uczciwym — kończył młodzian spokojnie, nie dając się zbić z tropu — a spełnił tylko swoją powinność...

— I cóż dalej?

— Otóż padł ofiarą ohydnej zasadzki!... został podstępnie zasztyletowany, a w dodatku... skalpowany.

To ostatnie wyrażenie, było zagadką dla całego audytorjum, prócz Tankreda, który słów znaczenie zrozumiał doskonale

— Brałem udział w wojnie amerykańskiej — zwrócił się ku Reginaldowi, tłómacząc niejako pod tym względem swoje rzeczoznawstwo — i wtedy studjowałem z wielkim interesem, zwyczaje i obyczaje Czerwonoskórych. — I dodał w formie dla dam przystępnej: — Obcinają oni naokoło i zdzierają skórę z włosami z czaszki nieprzyjaciela zwyciężonego, chowając takową jako trofea wojenne. Ta operacja nazywa się *scalp*.. jedno z dzikich okrucieństw indyjskich!

— Przyswojonych, ile się zdaje, przez Irlandczyków Połączonych! — dodał ironicznie oficer angielski — bo nie pierwszy to już raz spotkano zwłoki w ten sposób shańbione. A może też mają pomiędzy sobą jako sprzymierzeńców, kilku z tych kanibalów dzikich i okrutnych!

Postać Unkasa, niemego sługi *Wild-Irish'a*, zarysowała się w umyśle Tankreda; drgnął też mimowolnie, co zwróciło uwagę Anglika.

— Jeżeli masz hrabio jakikolwiek wpływ na przyjaciół politycznych lorda Edwarda — przemówił znowu z naciskiem syn wicekróla — chciej im to wytłómaczyć, iż przez takie dzikie a bezowocne zemsty na pojedyńczych osobistościach, ubezwładnią dobrą wolę tych, którzy pragną uratować głowy uwięzionych przywódców z pod toporu kata.

— Spodziewam się — księżna z dumą głowę podniosła — iż nikt nie będzie śmiał posądzać syna mojego o wspólnictwo ze skrytobójcami!

— Z pewnością nie! — potwierdził Reginald — ale i w naszych szeregach znajdują się nieubłagani, którzy radzi by zrzucić na głowy przywódców i zrobić ich odpowiedzialnymi za wszelkie zbrodnie i okrucieństwa, które niesie w łonie wojna domowa. Nie tylko musimy bronić życia lorda Edwarda, ale nie mniej i czci jego! — Skłonił się sztywnie w około i wyszedł Od progu jednak jeszcze raz zmierzył Tankreda wzrokiem pełnym niechęci.

— Czyż by mnie o coś posądzał? — hrabia pytał się w duchu.

Ta niechęć sir Reginalda, nie przeszkodziła mu jednak zaskarbiać sobie coraz więcej łaski samej księżny, i zaufanie lady Pameli, zaczem poszło że przyjmowali go wszyscy coraz serdeczniej i niemal codziennie w pałacu Leinster. On jeden wnosił w ten dom żałobny trochę swobody, pewne ożywienie, jakąś rozrywkę, rodzaj chwilowego o troskach zapomnienia, którego atoli nie śmielibyśmy nazwać wesołością. Co się tyczy Łucji, tę od pierwszego w Kildar spotkania łączył z nim prąd dziwnej, nieokreślonej sympatji. Jedno słowo rzucone, uśmiech przelotny, spojrzenie zamienione, wystarczało im do wzajemnego porozumienia Gdy Reginald zniknął za drzwiami, opisawszy śmierć tragiczną majora Sirr, jedno i to samo imię wybiegło im na usta cichym szeptem: — Jack! — Oczy zaś obojga skierowały się badawczo w stronę Kornelji.

— Ta mu powie — Łucja rzuciła na ucho Tankredowi — zaklnie go na wszystko najświętsze, żeby tak więcej Edzia nie kompromitował i czci jego na szwank nie narażał!

A w dwa dni później dodała od niechcenia:

— Sprawa załatwiona! Jack będzie odtąd działał rozważniej. Przyrzekł!

— Miss Kornelja widziała go zatem?

— Nie myślę...

— Mają więc jakiś inny sposób do wzajemnego porozumiewania się i korespondowania z sobą?

— Ah! za wiele się pytasz panie hrabio! To nie moja tajemnica.

Czarnowłosa kuzynka siedziała nieopodal we framudze okna z robótką w rękach. Tankred skorzystał z zajęcia ogólnego jakąś nową wizytą, żeby przysunąć się nieznacznie do haftującej i spytać cichuteńko:

— Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo?

Korneja mignęła mu przed oczami ową gałązką symboliczną i natychmiast ją nazad za gors ukryła, pozornie nie przerwawszy wcale roboty, poczem odszepnęła w tym samym tonie tajmniczym:

— Nie lękaj się pan niczego, ani dla niego, ani z jego powodu. Będzie czekał!

Niepodobna było dowiedzieć się czegoś więcej. Kornelja była istotnie zagadką uosobistnioną. Wzrokiem zadumanym, błędnym, goniła w przestrzeni jakieś mgliste obrazy, wysnute z własnej fantazji, a cała jej postać dowodziła, iż myślą bujała zawsze gdzieś indziej.

Dni kilka minęło bez ważniejszego zdarzenia. Przy każdych nowych odwidzinach mówiono długo i szeroko o więźniach, przyczem Łucja umiała zawsze rozmowę zręcznie nakierować na wychodźców francuzkich, przybywających gromadnie do Dublina, których położenie częstokroć bardzo przykre pod względem materjalnym, zdawało się wzbudzać żywy interes w młodej dzieweczce.

— Ileż to razy — powtarzała — nasi przodkowie, z kraju wypędzeni, znajdowali w gościnnej Francji nie tylko schronienie, ale i pomoc braterską! Fortuna kołem się toczy, nieprawdaż panie hrabio? Tak często Francja i Francuzi nam wszystko ofiarowywali, iż dziś, gdyby który z was nie chciał przyjąć pomocy od Irlandczyków, zranił by tem boleśnie serca nasze, zmuszając nas niejako do wstrętnej niewdzięczności. Wszak spłacamy wam tylko dług oddawna w obec Francji zaciągnięty.

— Tak . zapewne!... — Tankred potakiwał z pewnem wahaniem, pytając się w duchu: — Co ona pod tem rozumie?!

Dnia pewnego zastał ją samą w salonie. Księżna miała gwałtowną migrenę, więc i Korneljęprzy sobie zatrzymała. Pamela wyszła z dziećmi na przechadzkę. Przeprosiwszy kilku słowami, że tak nie w porę się pojawił. Tankred chciał odejść. Sądził bowiem, iż byłoby z jego strony niedyskrecją, dłużej sam na sam zostawać z młodą panienką.

— Ależ właśnie! — Łucja żywo zawołała — Korzystajmy z nadarzonej sposobności... Pragnęłam oddawna pomówić z panem w cztery oczy.. Młode Irlandki, mają często takie popędy naiwne. *Honny soit qui mal y pense!* jak powiedział Edward III, król angielski.

— Zawsze jestem gotów na twoje rozkazy miss! — Tankred odpowiedział, grzecznie się kłaniając.

Jednakowoż pewność i swoboda pięknej miss, gdzieś się nagle ulotniła.

— Nie śmiem! — bąkała zmięszana. — Ach! to sprawa tak drażliwa! Wprawdzie... Zgadzamy się... zapatrujemy się na nią z tego samego stanowiska Idzie tylko o formę. Lękam się urazić pana — obrazić dumę twoją, trochę nadto wygórowaną.

Spuściła na oczy długich rzęs firankę, cała zarumieniona. Jej zakłopotanie czyniło ją stokroć ponętniejszą. Nasz hrabia w podobnych wypadkach nie troszczył się nigdy, bo miał zawsze na pogotowiu stosowny komplement.

— Miss — grzecznie zapewnił — nic obrażającego nie mogłoby wyjść z ust twoich. Nie jesteś-że ową dziewicą w bajce, która za każdem słowem wymówionem, sypie perły i djamenty?!

— Nieidzie tu o perły, ani o djamenty — przerwała mu — ale o pewną sumę, zebraną dla wychodźców francuzkich, przez stowarzyszenie dam irlandzkich. Jestem obrana wice-prezydentką i na ostatniem posiedzeniu uchwaliłyśmy... — Tankred brwi ściągnął mimowolnie. — Błagam cię panie hrabio — kończyła szybko zebrawszy całą odwagę — nie gniewaj się na mnie. Ale, ale, zapisałam na liście pańskie nazwisko i oto część na ciebie przypadająca w woreczku mojej własnej roboty. Z minką prześliczną, pokorną, jakby o łaskę prosiła, podała mu pieniądze.

— Jesteś miss zachwycającą w tej postawie — odpowiedział z uśmiechem, głosem drżącym od wzruszenia głę-

bokiego, i łatwo mi pojąć, że moi ziomkowie choćby nawet byli książętami krwi, poczytaliby sobie za prawdziwy zaszczyt, nie za ubliżenie ich godności, odbierać wsparcie z rączek takiego anioła! Chciej jednak wierzyć miss, iż co do mnie, jestem bogaty.

Patrzyła mu w oczy z niedowierzaniem.

— Nawet bardzo majętny! — powtórzył.

— Tak — szepnęła — we Francji...

— Wpadł jej w słowo:

— Miss jeszcze wątpisz? Czyż mam ci złożyć pisemne dowody?

— To nie — zkądże jednak?..

— Choć inni potracili wszelkie dochody, jam nie popadł w ubóstwo i oto dla czego: Jak już wspominałem, walczyłem pod La Fayett'em w Ameryce. Przypadkiem natrafiłem tam na bliskiego krewnego mojej matki, który tak się we mnie rozmiłował, iż będąc bezdzietnym, zostawił mi cały swój znaczny majątek. Dochody odbieram przez bank londyński i właśnie teraz przez Londyn przejeżdżając, wypłacono mi sumę bardzo znaczną. Oprócz tego, mam kredyt otwarty w banku, w Dublinie. Czy wystarczy ci na to miss słowo honoru szlachcica francuzkiego?

— Najzupełniej panie hrabio! Muszę zatem odebrać moje gwineje!..

— Ale tylko gwineje! — zakończył tonem szczerej i serdecznej wdzięczności — woreczek niech mi będzie wolno zatrzymać na pamiętkę tej chwili!

— Dla pana go robiłam! — szepnęło dziewczę z lubą otwartością. I złoto wpuściwszy do kieszonki, podała mu próżny woreczek.

W tejże chwili kamerdyner oznajmił Reginalda. Ten, gdy wszedł, skłonił się hrabiemu nader zimno, niemal wyniośle.

— Ho! ho! — Tankred pomyślał — To więcej niż nieufność, to zazdrość po prostu. Miejmy się więc na baczności!...

XVIII.
Zima w Dublinie.

Tankred prawdę powiedział; dochody z Ameryki, pozwalały mu żyć na stopie czystej krwi dżentelmena. Zainstalował się też w ładnem mieszkanku, urządzonem z komfortem angielskim a wytwornością francuzką i napisał natychmiast do Filipa, oberżysty w Cork, żeby Pat'a mu przysłał na służącego. Paddy przybył niebawem, ubrany od stóp aż do głowy w ceratę żółto-ognistą, strój zwykły majtków podczas deszczu, chociaż dnia tego właśnie słońce najpiękniej świeciło. W stroju tak oryginalnym i do pory nie zastosowanym, wyglądał najpocieszniej w świecie. Tankred najprzód parsknął śmiechem. Następnie litość go wzięła:

— Czysta małpa z ciebie, mój chłopcze! — wykrzyknął. — Zkąd do djabła wyłazisz?

— Ze statku! — odpowiedział Pat, z miną wielce załośliwą. — *Arrah*! Drugi raz nie głupim dać się złapać na te rozkosze!

— A dla czego lądem nie przyjechałeś? Posłałem ci przecież na drogę pieniądze?

— Dzięki stokrotne! Niech Bóg za nie błogosławi waszą wysokość! Musiałem jednak pieniądze Peggy zostawić...

— Jakiej Peggy?!

— Wasza wysokość już nie pamięta?... a ta siostra najstarsza siedmiorga młodszych bębnów...

— Aha! Twoja narzeczona!... No! i cóż dalej?...

— Nająłem się na mały statek żaglowy, jako nadliczbowy wioślarz. Płynął właśnie ku Dublinowi. *Hillou!* co to była za jazda opłakana! jaka ciężka praca! Moje łachy nie były w możności oprzeć się czemuś podobnemu! Uleciały na cztery wiatry! i gdyby nie ten ubiór pożyczony mi przez kapitana statku, nie mógłbym pokazać się na oczy waszej wysokości, golusieńki, jak mnie Bóg wielki stworzył! Co?! Wasza wysokość nie pożałuje liberji swojemu słudze wiernemu i jakiej takiej koszuliny?... Zachodzi gwałtowna potrzeba tych marności!

— Niech i tak będzie! — uśmiechnął się hrabia i zadzwonił na kucharkę, mistrzynię w swojej sztuce, która w dodatku miała całem gospodarstwem zawiadywać.—Pójdziesz teraz do izdebki dla ciebie przeznaczonej. Spij i odpoczywaj, póki krawiec liberji nie przyniesie. Żebyś mi się więcej tak nie pokazywał! Śmiech tylko wywolujesz i wstyd mi robisz!

— Niech mnie Bóg wielki chroni od podobnego nieszczęścia! — Pat zawołał, dając susa w górę z radości niepohamowanej. — Ja miałbym wstyd robić, mojemu panu najlepszemu? Mina będzie gęsta! poważna! jak przystało na kamerdynera waszej wysokości!.. Ani kozłów, ani whisky, chyba w dzień Patricka, mojego świętego patrona, bo wtedy należy to do artykułów wiary. *Hillou-hou*! nie był by ten Irlandczykiem, ktoby trzeźwym pozostał na imieniny świętego Patrick'a!..

I Paddy przeleciał przez pokój w samych koziołkach na rękach i nogach. Nazajutrz niktby go był nie poznał. Krótko ostrzyżony, cichy i poważny, w liberji ciemnobrązowej, wyglądał jak wierny sługus Alderman'a.

Zaopatrzył się był Tankred w kilka listów polecających. Wszystkie drzwi stanęły więc dla niego otworem. Gdy raz okazał zdziwienie z tego powodu:

— *Arrah!*—Pat mu wytłómaczył. — Są to przecie drzwi Irlandczyków. Wasza wysokość nie wie jeszcze, iż u nas taka jest gościnność, iż o wiele łatwiej wejść do czyjego domu, niż wyjść z niego napowrót.

W domach i towarzystwach angielskich, był przyjmowany nie tak serdecznie, a za to z większą etykietą. I tu jednak raz się wśliznąwszy, umiał wszystkich sobie ująć i wszystkim się podobać. Ułożenie dystyngowane, arystokratyczne, dowcip, wzięcie swobodne i wesołe, zjednało mu przychylność ogólną, nawet na salonach pół, lub całkowicie urzędowych. Został też niebawem ogłoszony pierwszym lwem i elegantem w całym Dublinie.

Dandysi z Phoenix-Parku, naśladowali go w najdrobniejszych szczegółach toalety. Trefiono włosy tylko *a la* Gaillefontaine. Przed wystawami jego dostawców i w ich magazynach, był natłok codziennie. Dzienniki miejscowe powtarzały na wyścigi, każdy z jego dowcipów. Stracono nawet rachunek jego podbojów na polu miłostek i awanturek przeróżnych w tym rodzaju.

Ma się rozumieć, że nic na jaw nie wyszło, z roli dość ważnej, nawet tragicznej, którą odegrał w Gourgane Barra, w zamku Kildare i w domu Reynolds'a. Któż by go zresztą mógł posądzić, o styczność jakąkolwiek z rokoszanami? Zdawał się tak zupełnie obojętny na wszelkie kwestje polityczne; tak roztrzepany i li zabaw pragnący, że policja wkrótce przestała go szpiegować, nie posądzając o żadne plany uboczne. — Furfant! letkiewicz! — powtarzali chórem, ludzie poważniejsi

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

W ten sposób substancja lotna i niepochwytna zostaje naraz skroploną, poczem, uległszy dokładnemu zbadaniu, znajdzie się w kryształowej o równych podziałkach rureczce, która ją pozwo i jak najściślej zmierzyć i zważyć. Ztąd też, podczas gdy inni prawodawcy lub wielkorządcy wiezą wśród rozpraw na radzie st nu oderwane tylko twierdzenia pod postacją artykułów kodeksu w oczach Napeleona zamieniają się one na istoty żywe, wraz ze wszystkiemi wrodzonemi skłonnościami, na Francuzów, Włochów lub Niemców. W miarę praw projektowanych, wyobraża on sobie zastosowanie ich, a przed oczyma jego duszy przesuwa się z kolei chłop, wyrobnik lub mieszczanin, szlachcic, przeżyły rewolucjonista, emigrant wracający do kraju, żołnierz, oficer albo urzędnik, jednem słowem, człowiek całkowity pod jakąniebądź postacią, człowiek, który żyje, pracuje, cierpi i umiera; zarówno nadzieje jego jak pragnienia nie pozostawały bez echa w wielkiej tej duszy.

Trudno o większy kontrast nad różnicę, istniejącą między poważnemi dowodzeniami, w jakie stroili myśli jego uczeni redaktorzy kodeksu, a słowami cesarza, podchwyconemi nieraz w przelocie i zanotowanemi dla niezwykłej ich jędrności. Chcąc w zasadzie utrzymać rozwód, takiem popierał go twierdzeniem:

„Zastanówcie się tylko nad obyczajami narodowemi; wiarołomstwo nie jest tu zjawiskiem nadzwyczajnem, to fakt pospolity, codziennie spotykany, zabawka salonowa.. Trzeba więc nałożyć wędzidło kobietom, uwodzonym przez blichtr, piękne wiersze, muzy, Apolina i t. d. Jeżeli jednak rozwód ustanowionym zostanie na zasadzie niezgodności charakterów, natenczas małżeństwo przestaje istnieć, zwichniecie je odrazu i uczynicie tak chwiejnem, iż ludzie przy składaniu przysięgi będą już nieraz o zerwaniu jej myśleli.

„Wyjdzie to na jedno, jak gdybyśmy mówili: Dotrzymam wiary, dopóki mi się będzie podobało, dopóki mi inna nie przyjdzie fantazja. Nie należy również dopuszczać do łatwego unieważniania małżeństwa; węzeł raz zadzierzgnięty nie powinien się rozwiązywać tak lekko; inaczej, każdy znalazłby przyczynę, któraby w jego oczach ślub nieważnym czyniła. Dajmy na to, iż mam zamiar poślubić kuzynkę moją, powracającą z Indyj; zamiast niej przedstawiają mi jakąś awanturnicę; żenię się, a następnie, ku krzywdzie własnej i moich dzieci, odkrywam, że matka ich oszukała mnie, za inną przedstawiając się kobietę. Cóż? Może małżeństwo powinno się rozerwać przez to? Może moralność publiczna nie wymaga, aby pozostało ważnem? Związek dusz — zapewne — był mniejszym, lecz czyż los dzieci ma cierpieć za fakt spełniony przed ich urodzeniem?"

Gdy chodziło o prawa dzieci, pełnoletnich nawet, do alimentów wypłacanych przez rodziców, Napoleon tak głos zabiera:

„Chcecież więc, aby kodeks upoważniał ojca do wypędzenia z domu córki piętnastoletniej, aby pozwalał rodzicom mającym sześćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu, mówić do syna: Jesteś zdrów i duży, idź, pracuj, kochanie. Ojciec bogaty, nawet zamożny tylko, nie powinien nigdy odmówić łyżki strawy swym dzieciom. Wymażcie prawo o dostarczaniu środków do utrzymania, a zmusicie pokrzywdzonych do targnięcia się na życie własnych rodziców".

„Zapatrujecie się na adoptownie jak prawodawcy, a nie jak ludzie, nie jak wytrawni mężowie stanu", — woła innym razem. — „Nie może ono polegać ani na umowie cywilnej, ani na akcie prawnym. Pojęte w ten sposób, prowadziłoby do najzgubniejszych wyników. Człowiekiem należy przedewszystkiem kierować za pomocą wyobraźni, bez niej zmieniłby się poprostu w zwierzę. Wierzajcie mi, iż nie za pięć sous dziennie, nie za nędzne odznaczenie żołnierz pozwala zabijać się na polu bitwy, nie, — tylko przemówieniem do duszy, tylko poruszeniem jej sprężyn można zelektryzować człowieka. Czy zaś notarjusz dokaże tego za opłatą dwunastu franków? Nie, tu trzeba czegoś więcej, co najmniej uroczystego aktu prawodawczego. Cóż to jest adoptacja? Proste naśladownictwo, przez które społeczeństwo małpuje — jak zawsze — naturę, rodzaj nowego sakramentu, akt najwyższy, jaki wymarzyć można, nadaje on bowiem uczucia synowskie temu, który ich nie posiadał, budzi w sercu drugiej strony miłość rodzicielską, obcą jej dotąd. Skoro tak, akt podobny jak piorun z góry spaść powinien!"

Słowa te, krótkie a pełne siły, wybiegały z ust jego z mocą pocisków ognistych. Od czasu Voltaire'a i Galieni'ego, nikt tak jędrnych dowodzeń hojną nie rzucał dłonią. Podobne do gwałtownej błyskawicy, rozjaśniają nagłem światłem stan społeczeństwa, prawa, tajniki rządu, położenie Francji i charakter jej synów. Jeden Monteskiusz tylko dorównał mu w tych błyskach umysłu, nie starannie obmyślanych, lecz tryskających prądem żywym i naturalnym, wrodzonym, jak ruchy mimowolne, które bezwiednie powtarzamy. Nie były to zresztą słowa na wiatr rzucone; i owszem, Bonaparte jakby dla dodania im wagi, na radzie stanu tylko lub w kółku swych poufnych, wypowiadał tak gorąco myśli nim wstrząsające; wobec obojętnych tłumił zwykle własne wrażenia, pisząc i przemawiając w języku, ściśle zastosowanym do pojęcia słuchaczy. W takich warunkach odrzucał dziwaczne zwroty, porywy zapału i wyobraźni, tłumił ogień genjalnege częstokroć natchnienia Jeżeli pozwalał sobie niekiedy na improwizatorskie zwroty, to tylko wtedy jedynie, gdy chciał przejąć słuchacza poczuciem wielkości, gdy chodziło mu o olśnienie takiego Piusa VII, lub cesarza Aleksandra. Mowa jego przybierała w chwilach podobnych pieszczotliwą, pełną wylania poufałość, a Napoleon przedzierzgał się odrazu w zręcznego aktora; zarówno zaś zdolny do ról komicznych, jak tragicznych, umiał z nieporównaną grać je werwą, potrafił być przebiegłym, dobrodusznym i piorunującym naprzemian.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 19. Kwietnia 1888 r.

— Witaj proroku! — zawołał na mój widok jeden ze znajomych, spotkawszy mnie wczoraj na ulicy. Myślałem, że te słowa nie do mnie były skierowane, lecz gdym je usłyszał powtórzone i do tego z naciskiem, zapytałem:

— Wolno wiedzieć za co mnie taki zaszczyt spotyka?

— Za to, żeś duchem proroczym temu miesiąc przepowiedział, iż Bismark zejdzie na drugi plan i zgaśnie..

— Mój kochany — odparłem — aby coś podobnego przewidzieć, na to nie potrzeba być koniecznie aż prorokiem. Są prawdy niewątpliwe, stojące jak drogoskazy na drodze długiej a ciernistej, po której ludzkość z czołem uznojonym kroczy ku celom nieznanym, a kto zna przeszłość, i umie zastanawiać się nad teraźniejszością, ten wie, że owe drogoskazy znajdują się w pewnych odstępach, boć całe życie wszechświata, to jedno koło olbrzymie, nie mające ani początku, ani końca, w którem atoli promienie wciąż się powtarzają... Czyż to, co dziś Bismark robić zaczyna, nie działo się ongi w naszej własnej historji? Znasz posągową postać Zbigniewa Oleśnickiego. Jak długo żył Władysław Jagiełło, biskup krakowski był alfą i omegą polskiej polityki. Głos króla nic nie znaczył, bo Zbyszek był wszystkiem. Gdy król oczy zamknął, a syn jego, Władysław, przyjął koronę węgierską, wtedy ambitny biskup korzystając z bezkrólewia w Polsce, wykonywał dalej władzę najwyższą i z pewnością nie przeczuwał, że jego potęga kiedyś runie. Ale gdy bohaterski król, słuchając rad Cesariniego poszedł pod Warnę, gdzie tam zginął — i gdy na tronie polskim zasiadł brat jego, Kazimierz, gwiazda, która tak długo przyświecała Oleśnickiemu zaczęła gasnąć i oto widzimy go w senacie jako prostego wichrzyciela, robiącego opozycję królowi, co nawet profesora Bobrzyńskiego w wysokim stopniu gorszy, i dla tego bystry ten historyk twierdzi, że Oleśnicki żył za długo. Czyż kubek w kubek nie powtarza się dziś to samo z księciem Bismarkiem? Nie mogąc pogodzić się z tą smutną dlań rzeczywistością, iż przestał sam być cesarzem, rzuca się jak lew w żelaznej klatce zamknięty, to też wcale bym się nie dziwił, jeżliby skończył jak hr. Arnim, któremu ten sam Bismark wytoczył był niegdyś proces o zdradę stanu. A Niemcy co by wtedy powiedziały? Niemcy zachowałyby się jak każdy inny naród w podobnym wypadku. Z początku byłby wielki krzyk i rwetes, zwolennicy bowiem żelaznego kanclerza podnosiliby głos w jego obronie, wszelako jeżliby korona stała twardo przy swojem, słabsze duchy przeszłyby szybko do jej obozu, w końcu zaś wszyscy by zaczęli plwać na tego, którego jeszcze wczoraj za półboga uważali. Tak, niestety, wygląda wdzięczność narodów.

— Jak widzę, horoskop, któryś genjuszom postawił, nie ma form ponętnych — rzekł mój znajomy.

— Nie jam temu winien, że tak się dzieje — odparłem — lecz najczęściej oni sami. Każdy człowiek, a już przedewszystkiem ci, którzy na czele narodów stojąc, losy miljonów dzierżą w swojej dłoni, powinni wiedzieć, kiedy im należy przestać działać i z widowni ustąpić. Kto tego nie wie, temu powiadają, że się przeżył i nad takim nikt się nie litaje. Jest to naturalny rzeczy porządek, bo gdyby starcy nad grobem stojący, chcieli wciąż o wszystkiem decydować i młodych od współdziałania odsuwali — to świat musiałby skotniec, gdyż nie starość, lecz młodość może mu użyczyć krwi ciepłej i sił żywotnych.

. . . .

Jak widzę radość moja, gdy konkurs Mickiewiczowski nagrodził projekt Cypryana Godebskiego, była przedwczesna. Sędziowie konkursowi powiedzieli swoje, komitet zaś wykonawczy, w którym zasiada 5 członków, nie zwracając uwagi na ich wyrok uchwalił, aby wykonanie pomnika poruczyć p. Regierowi, mimo że ten żadnej nagrody nie otrzymał. Dziennikarstwo tak galicyjskie jak zakordowowe jednogłośnie uderzyło na alarm, nazywając podobne postępowanie niewłaściwem w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu. Skoro komitet wykonawczy miał sam ostatecznie rozstrzygać, więc na co było sędziów z dalekich stron sprowadzać? Przecie stokroć było lepiej sprawę ubić od jednego zamachu, niż spowodować tyle rozgoryczenia. Już to w Krakowie nic się nie może obejść bez koteryjności i protekcyjek i tylko żałować należy, że sprawa publiczna na tem cierpi. Jeżeli tak dalej pójdzie, to prawdopobnie urodzi się nam drugi taki poeta genjalny jak Adam Mickiewicz, a pierwszy jeszcze pomnika mieć nie będzie.

Straszliwa klęska powodzi, która w tym roku nawiedziła Europę środkową, przekonała nas namacalnie, że lubo regulacja rzek jest rzeczą pożyteczną, jednakowoż nie usuwa ona nigdzie niebezpieczeństwa. Co pomogły śluzy, tamy i wały ochronne, gdy olbrzymie masy śniegu nagle topić się zaczęły? W ziemiach pod panowaniem pruskiem zostających, rzeki są oddawna uregulowane, a mimo to Odra i Warta pochłonęły mienie tysięcy mieszkańców, bo jak poeta mówi: »rozszalałe żywioły nienawidzą dzieł ludzkiej ręki«. Poznańczycy, widząc nędzę tylu powodzian, wzywają do składek nas, Galicjanów, jakbyśmy u siebie podobnej historji także nie mieli. Już to Wielkopolanie muszą mieć o naszych zasobach materjalnych bardzo dobre wyobrażenie, skoro ilekroć pieniędzy potrzebują, kołacą do naszej ofiarności. Powiadają, że dobra opinja to połowa szczęścia, tymczasem nigdy jeszcze w jaskrawszem świetle niż teraz, nie okazała się paradoksalność tego powiedzenia. Zbyt dobra opinja czy to o rzeczach, czy o ludziach, którzy na nią nie zasługują, prowadzi zawsze do przykrych rozczarowań. Czy dla Wielkopolski nie byłoby lepiej, gdyby była z góry wiedziała, że Galicja nie da jej owych dwóch miljonów marek, których się od niej dla banku ratunkowego spodziewała? Nie łudząc się, byłaby albo zrezygnowała z naszej pomocy i własne siły wytężyła by się ratować, bądź też byłaby wszystkiemu dała pokój — i dziś Niemcy nie potrzebowaliby nam rzucać w oczy naszej nieudolności. Galicjanie, są niestety, skończonymi nędzarzami, a jeżeli bracia nasi w Wielkopolsce mniemają że przesadzam, niech przeczytają dziełko St. Szczepanowskiego »Nędza Galicji w cyfrach« a pewnie im się oczy otworzą.

Trzech szermierzy pióra legło w ostatnich dniach w zimnej mogile. W Poznaniu umarł historyk, Kazimierz Jarochowski, w Warszawie powieściopisarz i publicysta, Władysław Sabowski, we Lwowie poeta i dziennikarz Bolesław Czerwieński. Znałem osobiście wszystkich trzech, i zaiste trudnoby mi było odpowiedzieć, gdyby mnie kto zapytał, który z nich był mi sympatyczniejszy. Każdego charakter był czysty, każdy z nich kochał kraj i pracę, każdy dla kolegów był z wylaniem i ofiarnością. Jak żołnierze idący do ataku, legli przedwcześnie śmiercią spiorunowani, a chociaż żaden z nich nie był orłem, mimo to o każdym z nich można śmiało powiedzieć, że był talentem. To też łza w oku mi się kręci, gdy pomyślę, że talenty gasną jeden po drugim, ci zaś co po nich za pióro chwytają, to mierności, pigmejczycy, którzy ani nikogo nie rozgrzeją, ani nie przerażą. Czy narodowy nasz genjusz już się wysilił i więcej nie wyda talentów olbrzymich? O jak straszne byłoby takie przypuszczenie!... Wierzmy raczej, że żyjemy w epoce przejściowej i że jutro nowe gwiazdy na widnokręgu naszego życia zaświecą!...

p.

PORADNIK DOMOWY.

Oczyszczanie wody.

Zazwyczaj w chwili topnienia śniegów otrzymujemy tak mętną wodę, że używanie jej za napój lub do przyrządzania herbaty i potraw staje się niemożliwem. Przedewszystkiem zasługuje wtedy na uwagę oczyszczanie wody za pomocą półtora chlorku żelaza. Preparat ten dolewamy do wody w ilości 5 kropel na wiadro, poczem, zamięszawszy, dodajemy do niej 8 kropel 10% rostworu sody. Po kilku godzinach na dnie utworzy się osad, ponad którym zbierze się zupełnie przeźroczysta woda, jeżeli w ciągu tego czasu naczynie stało w spokoju. Niemniej dobrze używać w tym celu octanu (*aluminium aceticum*), który bądź w proszku wsypujemy do naczynia z wodą, bądź też wlewamy w postaci 15% rostworu. I w tym razie na dnie zbierze się osad, a woda zupełnie się oczyści. Można również używać w tym celu i taniny. Wreszcie do przecedzenia wody używać należy następującego, nader prostego filtru. Beczułkę, z której poprzednio wyjęliśmy oba denka, obwiązujemy u jednego końca czystą szmatką płócienną. Tym sposobem otrzymujemy rodzaj beczułki z płóciennem dnem, beczułkę do połowy napełniamy miałkim, czystym, dobrze ubitym piaskiem. Jeżeli przez ten improwizowany filtr przepuścimy wodę niezbyt silnym strumieniem, płyn wyciekać zeń będzie zupełnie oczyszczony.

Sposób zmieniania naturalnej barwy kwiatów i ich zapachu.

Francuski botanik, Karol Morren, opierając się na spostrzeżeniach starych ogrodników, podaje opracowany przez siebie sposób szczepienia, że tak powiemy, kwiatom barwy i zapachu, jakich z natury swej kwiaty te nie posiadają. Według p. Morrena, tylko kwiaty białe nadają się do przemiany swej barwy, główną uwagę zwraca on na trzy najrzadsze u kwiatów kolory, a mianowicie: czarny, zielony i niebieski. Dla każdego z tych kolorów postępuje się w sposób oddzielny a mianowicie jako materjał do nadania kwiatom koloru czarnego mają służyć baśki z olszyny, wysuszone i utarte na proszek; soki wysuszonej i utartej ruty dają kolor zielony; niebieski zaś otrzymuje się z polnych bławatków, rosnących w zbożu. Materjał ten zastosowywa się w sposób następujący: bierze się odnośny proszek do żądanego koloru, dodaje się doń dwie części owczego nawozu, oraz trochę soli, dolewa się octu, rozrabia się wszystko razem w rodzaj gęstego ciasta i takowe podkłada pod korzenie rośliny. Roślina zamiast na biało, zakwita na czarno. Ten sam sposób postępowania odnosi się do kolorów zielonego i niebieskiego, należy tylko wziąć odnośny materjał pożywczy. Należy także strzedz rośliny od deszczu i mocnej rosy, wystawiając ją tylko za dnia na słońce. Chcąc z kwiatu białego zrobić czerwony, należy jako materjału użyć drzewa brazylijskiego, oraz podlewać roślinę zabarwioną niem wodą. Lilie otrzymane tą drogą, przedstawiają się bardzo ładnie. P. Morren dodaje, że nietylko barwę, ale nawet zapach kwiatu daje się zmienić i to u roślin, wydających woń nieprzyjemną, lub z goła nie posiadających jej wcale. Do nawozu rozrobionego na rzadko z octem, dodaje się w tym celu trochę piżma, lub proszku bursztynowego i w otrzymanej gnojówce moczy się przez kilka dni albo nasienie kwiatu do sadzenia, albo też korzonki już podrosłej rośliny. Dla większej pewności zachowuje się resztę do podlewania. Polegając na zapewnieniach p. Morrena, rezultaty, jak w jednym, tak drugim razie, są nieochybne.

Łamigłówka.

(P. Anieli K. z Kotyszcz.)

Ku — s - i — ka — re — ctwo — ka — e — li — de — na — u — or — mie — je — don — na — ut — da — stni — piń — u — el — ski — jar — o mu — y — ju — .. — mu — tan — ud — czo — ka — m — ta — c — i — ri — wie.

Z powyższych zgłosek ułożyć następujące wyrazy:

1) Prowincja w Ameryce 2) Poeta. 3) Przezwisko dawniej dawane adwokatom. 4) Miejsce urzędowania. 5) Co czeka sprawiedliwych? 6) Nazwisko muzyka. 7) Dwie samogłoski. 8) Architekt polski 9) Pseudonium poety tegoczesnego. 10) Kanał między Ameryką a Australją. 11) Imię miasta na wybrzeżu Turcji. 12) Imię miasta w Chorwacji. 13) Forma tytułowania dawniej.

Początkowe i końcowe litery tworzą imiona i nazwiska dwóch tegoczesnych poetów.

Zadanie krzyżowe.

(Ułożył p. Ludwik Noworzecki.)

1
2
3
4 5 6 7 8
9
10
11
12
13
14
15
16
17 18 19
20 21 22 23 24
25 26 27 28 29 30 31

W powyższym krzyżu zamiast liczb postawić litery tak, aby środkowe z nich czytane z góry do dołu utworzyły imiona panującego.

Znaczenie: 1, 2, 3 litery — 4, 5, 6, 7, 8 miasto — 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16 litery — 17, 18, 19 rzeka — 20, 21, 22, 23, 24 minister — 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31 prezes rady ministrów.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **Salesa: „Najnowsze tajemnice Paryża“** w dwóch tomach.

Rozwiązanie zadania konikowego z Nru 11.

Kto pożycza wciąż i wszędzie
Ten mieć wiele długów będzie.

Rozwiązanie łamigłówki z Nru 11.

1) **K**iliński**.**	7) **U**rku**b.**
2) **O**rangutan**.**	8) **J**acent**y.**
3) **R**igolett**o.**	9) **E**ber**t.**
4) **N**iżnió**w**	10) **J**amajk**a.**
5) **E**lementar**z.**	11) **S**łowack**i.**
6) **L**oir**e.**	12) **K**ió**w.**
	13) **I**ndy**k.**

Kornel Ujejski — Kwiaty bez woni.

Rozwiązanie łamigłówki z Nru 11.

			K	o	n	o	**N**			
	O	s	t	r	o	g	s	k	**I**	
		Ś	l	e	d	z	i	**E**		
		C	a	s	t	r	u	**M**		
		I	ł	o	w	i	e	**C**		
		U	k	e	r	e	w	**E**		
		S	u	w	a	r	ó	**W**		
		Z	a	m	b	e	z	**I**		
K	r	z	e	m	i	e	n	i	e	**C**
			O	b	r	a	**Z**			

Kościuszko — Niemcewicz

Rozwiązanie wszystkich zadań nadesłali: p. Wanda Kopacz ze Stanisłowowa, Jan Krzysztofowicz z Jarosławia, Eisenberg Stefania z Żurowa, Edward Marynowski i Zygmunt Smolka z Sambora, Marja Bernacka z Krakowa, Olga Elterleinowa ze Szczurowy, K. d'Abancourt z Bolechowa.

Zadania konikowego i 2-giej łamigłówki p. Aleksander Godel z Przemyśla, łamigłówki 1 szej Jan Biliński z Horodenki, dwóch łamigłówek, ks. H. N. ze Lwowa, łamigłówki 1-szej, Frank Władysław z Dymitrowa, zadania konikowego i 1-szej łamigłówki, Emilja Niemczanowska z Krzaczówki, łamigłówek Stanisław Faliszewski z Biecza i Michał Swistara z Kolbuszowy dolnej.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymał **p. Jan Krzysztofowicz z Jarosławia.**

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz

Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak